

John Barth
CHIMERA

**Przekład i postowie
Krzysztof Majer**

Państwowy Instytut Wydawniczy

Dunjazadiada

1

– Wtedy to jak zwykle przerwałam siostrze, mówiąc: „Umiesz obchodzić się ze słowami, Szeherezado. To już tysięczna noc, jak siedzę u stóp twego łóża, gdy uprawiacie z Królem miłość, a potem opowiadasz mu najróżniejsze historie. Ta, która właśnie jest w toku, ujarzmiła mnie niczym wzrok dżinna. Nie śmiała-bym wtrącać się tuż przed końcem, lecz ze wschodu słyszę pianie pierwszego koguta et cetera, a przed świtem, doprawdy, Król powinien się zdrzemnąć. Jakże zazdroszczę ci talentu”.

A Szerry jak zwykle odpowiedziała: „Dunjazado, lepszej od ciebie publiczności nie umiem sobie wyobrazić. Lecz to jeszcze nic; poczekaj tylko, aż jutrzejszej nocy usłyszysz zakończenie! Jak zawsze pod warunkiem, że ten oto szczęśliwy Król nie zgładzi mnie przed śniadaniem, co wszak zamierza już od trzydziestu trzech miesięcy i jednej trzeciej kolejnego”.

„Hmf”, rzekł Szahrijar. „Nie lekceważ krytyków; wciąż jeszcze mogę to uczynić. Zgadzam się jednak z twoją młodszą siostrą, że historia, którą właśnie opowiadasz, jest niczego sobie. Te wszystkie oszustwa, które przemieniają się w prawdę, te wzloty i upadki, podróże do innych światów. Pojęcia nie mam, jakim cudem to wszystko wymyślasz”.

„Artyści mają swoje sztuczki”, odparła Szerry. Każde każdemu życzyło dobrej nocy, w sumie sześć razy padło „dobranoc”. Rankiem brat twój, oczarowany opowieścią Szeherezady, udał się do sali rozpraw. Po raz tysięczny zjawił się tam Tatko z całunem pod pachą, spodziewając się, że każą mu uciąć głowę własnej córce; pod wieloma względami wezyr z niego nie gorszy niż kiedyś, lecz spędziwszy trzy lata w takim napięciu, w tym jednym względzie oszalał – do tego, nadmienień, osiwiiał i owdowiał. Ja i Szerry po jakichś pięćdziesięciu nocach czułyśmy po prostu ulgę, słysząc Szahrijarowe „hmf”, a później: „Na Al-laha, nie zabiję jej, póki nie wysłucham opowieści do końca”; lecz Tatko każdego ranka wydawał się zaskoczony. Jak zwykle się płaszczył, z wdzięczności się wdzięczył; Król jak zwykle spędzał dzień na swym dworze – jednym, wedle przysłowia, nakazując, drugim zakazując; ledwo wychodził, pakowałam się do łóżka Szerry, by nasz dzień jak zwykle upłynął na śnie i miłości. Gdy już jedna nasyciła się językiem i dotykiem drugiej, wzywałyśmy eunuchów, mame-luków, służące, tresowane pieski i małpki; potem był finisz z tym, co Szerry nazywała swym Zestawem Zabawek – a miała obciążone kulki z Bagdadu, dilda z Wysp Hebanowych i Miedzianego Miasta et cetera. By nie łamać pewnej przysięgi, zadowolilałam się podrażniaczem z piór basryjskiego Ruka, lecz Szerry swej przyjemności nie stawiała żadnych barier. Jej ulubiona opowieść mówi o pewnym paskudnym ifrycie, który porywa dziewczynę w noc jej zaślubin, wsadza ją do szkatuły z siedmioma stalowymi zamkami, szkatułę wsadza do kryształowej skrzyni, skrzynię zaś spuszcza na dno oceanu, by nikt prócz

niego nie mógł się jego branką cieszyć. Jednak za każdym razem, gdy wydobywa ten cały osprzęt na brzeg, odmyka zamki siedmioma kluczami, wyciąga brankę, żeby ją zgwałcić, a następnie usypia z głową na jej podołku, ona wyslizguje się spod niego i przyprowadza mu rogi z każdym mężczyzną, jaki się nawinie, na dowód zabierając mu pierścienie; pod koniec historii ma tych pierścieni pięćset siedemdziesiąt dwa, a durnemu ifrytowi wciąż się zdaje, że ją posiadał! Tak też i Szerry przyprowadza twojemu bratu ze sto rogów dziennie: dziś musi ich być ze sto tysięcy. I każdego dnia zostawiała na sam koniec Klucz do Skarbu, bo od niego jej opowieść się zaczyna i na nim się kończy.

Trzy lata temu i jedną trzecią następnego, gdy Król Szahrijar co noc brał gwałtem kolejną dziewczę i rankiem ją zabijał, a ludzie zanosili modły do Allaha, by udupić całą dynastię, i tylu rodziców uwiozło z kraju swe córki, że na wszystkich wyspach Indii i Chin zaczynało już brakować młodych dziewczyn, moja siostra robiła akurat licencjat z artes liberales na Uniwersytecie Banu Sasan. Nie dość, że mianowano ją Królową parady absolwentów, że w dniu wręczenia dyplomów wygłosiła mowę pożegnalną, a reprezentując uczelnię w zawodach lekkoatletycznych, dorobiła się czterech monogramów, to jeszcze była właścicielką prywatnej biblioteki złożonej z tysiąca woluminów i miała najwyższą średnią w dziejach uniwersytetu. Uganiały się za nią wszystkie wschodnie uczelnie magisterskie, kusząc stypendiami – ale ona tak była wzburzona stanem państwa, że w ostatnim semestrze rzuciła studia, by cały swój czas poświęcić badaniom nad tym, jak powstrzymać Szahri-

jara, nim wymorduje nasze siostry i doprowadzi kraj do upadku.

Nauki polityczne, którymi zajęła się w pierwszej kolejności, na nic się zdały. Władza Szahrijara była absolutna, a że oszczędzał córki oficerów i dygnitarzy (takich jak nasz ojciec), wybierając ofiary głównie spośród rodzin lewicujących intelektualistów i innych mniejszości, utrzymał lojalność wojska i rady ministrów na tyle, by zapobiec zamachowi stanu. Wyglądało na to, że przewrót nie wchodzi w grę, ponieważ nienawiść Szahrijara do kobiet – jakkolwiek spektakularna – miała całkiem silny fundament we wszystkich naszych tradycjach i instytucjach, a póki Król mordował dziewczyny z wyższych kast, nie mogło być mowy o ludowym podglebiu dla wojny partyzanckiej. Co więcej, ponieważ mógł liczyć, że przyjdiesz mu z Samarkandy z odsieczą, nie udałaby się ani inwazja, ani zwykły zamach; Szerry uznała, że twój odwet będzie gorszy niż Szahrijarowa zasada „kolejna noc, kolejna dziewczyna”.

Dlatego z politologii (ja ograniczyłam się do przenoszenia książek, ostrzenia piór, parzenia herbaty, układania fiszek) przerzuciłyśmy się na psychologię – kolejna ślepa uliczka. Gdy Szerry stwierdziła, że zareagowałeś na zdradę żony morderczą furią i rozpaczą, a następnie porzuciłeś królestwo, Szahrijar zaś zrobił to samo w odwrotnym porządku; gdy ustaliła, że ów fakt wynikał z różnicy wieku między wami, a także z kolejności, w jakiej do tych rewelacji doszło; i gdy wywnioskowała, że czynnik patologiczny jest pochodną porządku kulturowego i waszej pozycji jako władców absolutnych, nie zaś konkretnych zahamowań w psychice et cetera – cóż jeszcze można było dodać?

Z dnia na dzień jej desperacja rosła; ofiar, to jest zdeflorowanych i zdekapitowanych muzułmańskich dziewczic, było już przeszło dziewięćset, a Tatce kończyły się kandydatki. Musisz wiedzieć, że Szerry nie przejmowała się zbytnio własnym losem – nawet nie dlatego, że zdążyła odgadnąć, że Król oszczędza ją z szacunku dla swego wezyra i jej własnych osiągnięć. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja była upiorna, jednak Szerry martwiła się przede wszystkim o mnie. Od dnia mych narodzin, gdy Szerry miała jakieś dziewięć lat, strzegła mnie jak skarbu, jak córki; właściwie mogłabym nie mieć rodziców; jadłyśmy z jednego talerza, spałyśmy w jednym łóżku; byłyśmy nierozłączne; założę się, że przez pierwsze dwanaście lat mego życia nawet godziny nie spędziłyśmy osobno. Nigdy jednak nie mogłam się z nią równać pod względem urody i sprytu – poza tym byłam w rodzinie najmłodsza. Rosły mi piersi; zaczęłam już miesiączkować: lada dzień Tatko mógł stanąć przed koniecznością poświęcenia mnie, by ratować Szerry.

Więc gdy zawiodły wszystkie inne sposoby, Szerry zwróciła się ku swej pierwszej miłości, ku mitom i baśniom, choć niezbyt się to wydawało obiecujące, i przestudiowała wszystkie motywy zagadki/łamigłówki/tajemnicy, jakie udało jej się znaleźć. „Cudu nam trzeba, Duniu”, powiedziała (plotłam jej warkocze i masowałam kark, gdy po raz tysięczny przeglądała notatki), „a jeśli chodzi o dżinny, to z mojego doświadczenia wynika, że żyją tylko w opowieściach, nie w arabskich pierścieniach i żydowskich lampach. To w słowach drzemie magia – *Abra kadabra! Sezamie, otwórz się!* i tak dalej – tyle że zaklęcia z jednej opo-

wieści nie mają tej samej mocy w innej. Prawdziwa magia polega na tym, by zrozumieć, które słowa działają, i kiedy, i na co; sztuką jest poznać sztukę”.

Podczas dalszych gorączkowych poszukiwań zdanie to stało się jej mottem, ba – obsesją. Kończył jej się zapas baśni, a Szahrijarowi zapas dziewic; była coraz bardziej pewna, że przyjęła właściwą zasadę, i coraz bardziej zrozpaczona, że wśród wszystkich opowieści świata nie ma ani jednej, która by ową zasadę potwierdzała, albo wskazywała, jak się nią posłużyć, by rozwiązać nasz problem. „Przeczytałam tysiąc opowieści o skarbach, do których nie można znaleźć klucza”, powiedziała; „my mamy klucz, a nie możemy znaleźć skarbu”. Poprosiłam, by wytłumaczyła, co ma na myśli. „Wszystko jest tutaj”, oświadczyła – nie byłam pewna, czy ma na myśli kałamarz, czy też pióro, którym go wskazała. Nie mogłam już za nią nadążyć; im bardziej pogłębiał się kryzys, tym częściej fantazjowała, zamiast czytać, przestała też spisywać przykłady motywu Czarodziejskiego Klucza w literaturze światowej i tylko gryzmoliła przypadkowe litery naszego alfabetu, oddając się leniwym samołaskotkom.

„Dunieczko”, rzekła w rozmarzeniu, całując mnie, „udajmy, że cała ta sytuacja jest fabułą opowieści, którą właśnie czytamy, i że ty, ja, Tatko i Król jesteśmy fikcyjnymi postaciami. W tej historii Szeherazada znajduje sposób, by wpłynąć na to, co Król myśli o kobietach, i tym samym zmienić go w łagodnego, kochającego męża. Nietrudno sobie wyobrazić taką opowieść, prawda? No więc bez względu na to, jaki znajdzie sposób – czy będzie to czarodziejska formułka, czarodziejska opowieść zawierająca rozwiązanie albo jeszcze jakaś inna czarodziejska sprawa – wszyst-

ko sprowadza się do konkretnych słów w historii, którą czytamy, czyż nie? A na te słowa składają się litery naszego alfabetu: kilkadziesiąt zawijasów, które wyrysować można tym piórem. To jest klucz, Duniu! I skarb też, jeśli tylko uda nam się do niego dostać! To tak jakby... jakby klucz do skarbu był skarbem!”

Ledwie wymówiła te słowa, pośród regałów z książkami pojawił się džinn. Nie przypominał niczego, co znałabym z dobranocnych opowieści Szerry: przede wszystkim nie był przerażający, choć z pewnością wyglądał osobiście: człowieczek o jasnej skórze, może czterdziestoletni, gładko ogolony i łysy niczym jajo Ruka. Ubrany był prosto, a jednak cudacznie; wysoki, o zdrowym i całkiem sympatycznym wyglądzie, jeśli nie liczyć dziwnych obramowanych szkieł, które miał na nosie. Zdawał się nie mniej zaskoczony od nas – żebyś ty widział, jak prędko Szerry upuściła pióro i poprawiła spódnicę! – lecz prędzej niż my opanował zaniepokojenie, spojrzał na mnie, na nią, a potem na pękatą czarodziejską różdżkę, którą trzymał w palcach, i uśmiechnął się przyjaźnie.

„Naprawdę jesteś Szeherezadą?”, spytał. „Nigdy jeszcze nie zdarzył mi się sen tak klarowny i przekonujący! A ty jesteś mała Dunjazada – dokładnie tak was sobie wyobrażałem! Nie bójcie się: nie umiem nawet wyjaśnić, ile to dla mnie znaczy, że was widzę i że mogę w ten sposób z wami rozmawiać; nawet w marzeniu sennym jest to spełnienie marzeń. Rozumiecie angielski? Ja po arabsku nie znam ani słowa. O rety, wprost nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!”

Spojrzałyśmy po sobie. Dżinn nie wydawał się groźny; nie znałyśmy języków, które wymienił; każ-

de z jego słów było w naszym języku, a kiedy Szerry spytała go, czy wziął się z jej pióra, czy z jej słów, zdawał się pojmować pytanie, mimo że odpowiedzi nie znał. Powiedział, że jest pisarzem – a przynajmniej byłym pisarzem – w pewnej krainie na drugim krańcu świata. Kiedyś, jak się dowiedziałyśmy, ludzie w jego kraju lubili czytać; teraz jednak wymyślne fikcje czytają tylko krytycy, inni pisarze, a także studenci, skądinąd niechętnie, bo gdyby dać im wybór, od słów woleliby muzykę i obrazki. Jemu atrament prawie się już wypisał (czarodziejska różdżka okazała się iście czarodziejskim piórem): ale czy to on porzucił fikcję, czy też fikcja porzuciła jego, nie udało nam się ustalić, gdy jeszcze tego samego wieczora rekonstruowałyśmy ową pierwszą rozmowę, ponieważ albo nam, albo jemu myliło się kilka różnych kryzysów. Tak jak z Szahrijarem, w życiu Dżinna panował wielki zamęt – a mimo to, nie żywiąc najmniejszej urazy do kobiet, zadurzony był nieprzytomnie w dwóch nowych kochankach i dopiero niedawno zdołał z nich wybrać jedną. W karierze swej również dotarł do martwego punktu, który rad byłby nazwać punktem zwrotnym, gdyby tylko wiedział, w którą stronę się zwrócić: swych dotychczasowych dokonań nie chciał ani powtarzać, ani spotwarzać; jego ambicją było wykroczyć poza nie, zmierzając ku przyszłości, z którą jeszcze się nie zestroiły, oraz, mocą jakichś czarów, wrócić zarazem do pierwotnych źródeł opowieści. Lecz sposób osiągnięcia tych celów był dla niego równie mglisty jak dla nas sposób rozwiązania problemu z Szahrijarem – tym bardziej że Dżinn nie wiedział, w jakiej mierze jego kłopot wynikać może z jego własnych ograniczeń, z jego wieku, etapu ży-

cia oraz kolei osobistych losów; w jakiej zaś z ogólnego schyłku kultury literackiej w czasach i miejscu, w których przyszło mu żyć; w jakiej wreszcie z innych kryzysów dręczących jego kraj (oraz, jak twierdził, cały gatunek ludzki) – kryzysów równie bolesnych i kłopotliwych, wyznał, co nasz, i także niesprzyjających owej determinacji, której wymaga tworzenie wielkich dzieł sztuki, oraz spokojowi, którego wymaga ich odbiór.

Do takiego stopnia zaprzątnięty był tymi problemami, że jego praca i życie całkiem utknęły. Pożegnawszy się z przyjaciółmi, rodziną i posadą (był profesorem literatury), wycofał się na ustronne mokradła, gdzie mógł liczyć na odwiedziny jedynie bardziej oddanej z dwóch kochanek.

„Zamiar mam taki”, powiedział. „Dowiem się, w którą stronę ruszyć, kiedy stwierdzę, gdzie jestem, ustaliwszy najpierw, gdzie już byłem – gdzie już wszyscy byliśmy. Na mokradłach Marylandu żyje pewien gatunek ślimaka (być może go wymyśliłem), który skorupę buduje ze wszystkiego, co mu się po drodze nawinie, klejąc te kawałki własnym śluzem, a zarazem instynktownie zmierza tam, gdzie znajdzie najlepszy materiał na skorupę; nosi na grzbiecie własną historię, w niej mieszka, a rozrastając się, dodaje do niej coraz to nowsze i większe spirale teraźniejszości. Tempo tego ślimaka jest teraz moim tempem – ale ja kręcę się w kółko, leżę po własnych śladach! Przestałem czytać i pisać; sam już nie wiem, kim jestem; moje imię i nazwisko to mętlik liter; także cała literatura: ciągi liter i pustych miejsc, jak szyfr, do którego klucz zapodziałem”. Kciukiem poprawił sobie te dziwne szkła na grzbiecie nosa – za każdym

razem przyprawiało mnie to o chichot – i wyszczerzył zęby w uśmiechu. „No dobrze, niemal cała literatura. A skoro mowa o kluczach, to podejrzewam, że właśnie tak tu trafiłem”.

Odpowiadając na pytanie Szerry, czy wziął się z jej pióra, czy z jej słów, oświadczył, że w swych poszukiwaniach, podobnie jak ona, osiągnął impas; czuł, że skarbnica nowej fikcji leży w jego zasięgu, o ile tylko zdoła znaleźć do niej klucz. Dumając leniwie nad tą figurą, dodał więc do bagniska notatek, w których już i tak czuł się pogrążony, szkic opowiadania o człowieku, który jakimś sposobem odkrywa, że klucz do skarbu, którego szuka, sam w sobie jest skarbem. Jak właściwie to rozumieć (i jak tę historię opowiedzieć, wbrew wszystkim nękającym jej autora problemom) – na takie rozważania nie było nawet czasu, ponieważ ledwie skreślił na papierze słowa „Klucz do skarbu jest skarbem”, znalazł się tu z nami – na jak długo, w jakim celu i jakim cudem, nie miał pojęcia; chodziło może o to, że spośród wszystkich trudniących się opowiadaniem historii jego ulubienicą, jak świat światem, była Szeherezada.

„Tylko bym paplał i paplał!”, zakończył wesoło. „Wybaczenie!”

Zastanowiwszy się chwilę, moja siostra zaryzykowała tezę, iż zdumiewająca zbieżność jej i jego niedawnych zamyśleń, które doprowadziły ich niejako jednocześnie do tej samej zagadkowej formuły, musi mieć coś wspólnego z jego translacją do naszej biblioteki. Chętnie poeksperymentuje, oświadczyła, by sprawdzić, czy możliwy jest także przekład w drugą stronę, by – zakładając najgorszy obrót spraw – w razie czego potajemnie wyekspediować mnie w bez-